

CIENIE

POTOMKOWIE ANIOŁÓW. WALKA, W KTÓREJ SIĘY SĄ NIERÓWNE.
ZAKOCHAŁA DZIEWCZYNA, KTÓREJ SERCE ZOSTAŁO ZŁAMANE.

REFAIM #1

PAULA WESTON



Tytuł oryginału

Shadows

Copyright © 2012 by Paula Weston

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo Nowe Strony

Oświęcim 2022

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Agnieszka Nikczyńska-Wojciechowska

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-026-2

PAULA WESTON

CIEŃ

REFAIM #1

**TŁUMACZENIE
MALWINA STOPYRA**

OŚWIĘCIM 2022

Rozdział 1

Pomiędzy drzewa

Biegnę wzdłuż promenady, piasek unoszony wiatrem kłuje mnie w ramiona, a ciemne, burzowe chmury pędzą po niebie.

Ludzie skończyli pracę, a ja mimo to mam cały trakt dla siebie. Kilku surferów walczy ze wzburzonymi falami, a Williamsonowie spacerują po plaży, jak każdego ranka i popołudnia, w pasujących do siebie dresach i butach ortopedycznych. Pochylają głowy ze srebrzystymi włosami na wietrze, ale nadal trzymają się za ręce. Przez to czuję większą pustkę niż zwykle.

Obok mnie drzewa palmowe drżą i trzeszczą. Biegnę dalej. Kieruję się poza miasto, aż do rozwidlenia na trakcie. Prawa ścieżka wiedzie nadal wzdłuż plaży. Lewa prowadzi do lasu deszczowego i zmienia się w drogę gruntową. Jeszcze zanim tam dotrę, wiem, którą z nich pobiegnę, chociaż później moje nogi będą cierpieć.

Potrafię żyć z bólem. Niedawno w ogóle nie mogłam biegać. A później mogłam, a nie chciałam. Ale dzieląc dom z Maggie i patrząc, jak codziennie wiąże sportowe buty, w końcu i ja podniosłam się z kanapy. Przez jakiś czas biegałyśmy razem, ale w pierwszym miesiącu byłam dla niej zbyt wolna. Przekonywałam, że jej to nie przeszkadza, ale wiem, że nie powiedziała mi, gdyby było inaczej. Podjęłam decyzję za nią i dlatego zaczęłam biegać popołudniami. Okazało się, że lubię tę samotność.

W lesie nadal czuć cień wichury z plaży. Tutaj jest chłodniej i ciszej. Paprocie wyższe ode mnie wychylają się na drózkę, a ich liście dotykają moich ramion, kiedy przebiegam zbyt bli-

sko. Drzewa figowe rozciągają się nad głową, ich gałęzie są tak grube, że prawie całkowicie przysłaniają niebo.

Koncentruję się na dźwięku, jaki wydają moje buty w zderzeniu z twardym podłożem.

Plaża Pandanus jest odosobniona, znajduje się spory kawałek od głównej drogi. Otaczają ją góry i drzewa z jednej strony, a ocean z drugiej. Możliwość biegania przez las deszczowy jest jednym z powodów, dla których nadal tu jestem.

Wysiadłam z autobusu Greyhound dziewięć miesięcy temu razem z grupką surferów z dreadami. To było niedługo po moich osiemnastych urodzinach. Planowałam zatrzymać się tu na kilka tygodni i ruszyć dalej, ale tak się złożyło, że nadal tu jestem. Trochę zajęło mi znalezienie właściwego miejsca, takiego, w którym nie byłabym zauważana. Prawie każde przypominało mi Jude'a.

Podobałoby mu się tutaj. Pojechałby gdziekolwiek – byle była plaża i przyzwoity bar. Zawładnąłby tym miejscem w dwa tygodnie.

Ból uderza w moją pierś tak mocno, że drżą mi kolana. Zataczam się, ledwo utrzymując się na nogach. Staram się złapać oddech. Jednak to nie brak tlenu jest moim problemem, tylko ciężar. Okrutny, przytłaczający ciężar.

Opieram się o figowiec, a pierś mi faluje, do tego pali mnie gardło i pozwalam łzom płynąć. Przez jakiś czas nie robię nic więcej, szlocham i oddycham chłodnym leśnym powietrzem, walcząc z potrzebą wybuchnięcia krzykiem. Muszę zebrać się w sobie. Jestem silniejsza niż to.

Kiedy się prostuję, zauważam ruch z lewej strony. Migotanie. Odwracam głowę i wpatruję się pomiędzy gęste drzewa, ocierając policzki wierzchem dłoni. Dostrzegam kolejne migotanie, tuż na krawędzi pola widzenia, ale zdąży zniknąć, zanim moim oczom udaje się je wysledzić. Czekam, wstrzymuję oddech. Tak. Cień, znika ponownie, nim zdołam mrugnąć. To nie walabia. To coś jest o wiele zbyt wysokie.

– Hej – wołam, ale mój głos nadal jest zniekształcony od płaczu. Jeśli ktoś tu jest, muszę brzmieć mniej żałośnie. – Przestań robić sobie jaja.

Cisza jest teraz nienaturalna. Nie słyszę fal ani wiatru. Przesuwam językiem po spierzchniętych wargach. Popołudniowe słońce szybko znika za horyzontem.

– Pieprzyć to – odzywam się stanowczo i ostro, przeczesując wzrokiem drzewa.

Po chwili ruszam dalej. Mój plan to wyglądać tak, jakbym zwyczajnie wracała tą samą drogą, którą przyszłam, ale po dwóch krokach adrenalina uderza w mój krwiobieg i pędzę, ile sił w nogach.

Nigdy nie zwracałam uwagi na to, ile ten szlak ma zakrętów i zwrotów. Jak blisko są drzewa. Las deszczowy jest pełen cieni, więc kiedy zauważam mroczny kształt przemykający pomiędzy paprociami po mojej prawej, zajmuje mi chwilę, żeby uświadomić sobie, że ktoś tu jest. Śledzi mnie. Z łatwością.

Nie mogę się odwrócić, żeby spojrzeć. Nie mogę oderwać wzroku od ścieżki i wystających z niej korzeni. Jestem pięćdziesiąt metrów od linii drzew, paprocie uderzają w moje ręce i nogi. Trzydzieści metrów. Pnącze uderza mnie w twarz. Dziesięć metrów. Krew pulsuje mi w uszach, a płuca płoną. Prawie jestem. Wysilam się, by usłyszeć za sobą kroki, ale wiatr zagłusza teraz wszystko.

Wypadam spomiędzy drzew.

Gdzie są surferzy?

Ruszam ścieżką przy plaży, ignorując rwanie chorej nogi. Docieram do piasku, a moje stopy zatapiają się w nim. Biegnę dalej. W połowie drogi do brzegu moje łydki i uda w końcu zmieniają się w galaretę. Padam na kolana i odwracam się, oddech mam urywany, a pierś zaraz mi wybuchnie.

Nikt nie wybiegł za mną z lasu.

– Witaj, kochanieńka. – Podnoszę wzrok i widzę Williamsonów, wracających do miasta.

– Nic ci nie jest, moja droga? – Pani Williamson musi krzyknąć, żeby jej głos przebił się przez wiatr. Trzyma słomkowy kapelusz w zeszywniałych palcach.

Podnoszę dłoń. Nadal nie mogę mówić. Unoszę kciuk, a oni uśmiechają się, prawdopodobnie biorąc moje dziwne zachowanie za jakąś nową, fitnessową modę. Trening w stylu „więcej, gdzie pieprz rośnie i padaj twarzą w piach”.

Pozostaję na kolanach, wpatrując się w las. Kiedy słońce schodzi niżej na niebie, cienie strzelistych palm wydłużają się na piasku.

Nikt nie wychodzi z lasu. Czuję się głupio.

Chciałabym, żeby to było jedyne, co w tej chwili mi towarzyszy.

Rozdział 2

Nie takie słodkie sny

Maggie i ja stoimy w kuchni, w naszym domku znajdującym się przecnicę od plaży. Nakrapiane cienie, rzucone na ławkę przez drzewo jakarandy, ukrywają zadrapania i plamy po czerwonym winie.

Maggie odłożyła szydełkowanie i zajęła się czytaniem. Na zewnątrz ciągle słychać szum fal, choć stłumiony, na szczęście wczorajsza wichura odeszła już w niepamięć.

Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego samego o tym, co stało się w lesie deszczowym. Ciągłe odtwarzam to w głowie i próbuję zrozumieć. Byłam na skraju załamania, zanim postać zaczęła mnie śledzić między drzewami. Jakby moje ciało już się bało, zanim mózg zlokalizował zagrożenie. Ale czy rzeczywiście było jakieś zagrożenie?

Gdy nadszedł ranek, wydawało się to nierealne przy świecącym w oczy słońcu i czystym, błękitnym niebie. Mam wrażenie, że to wszystko jest nierzeczywiste. Teraz nie jestem nawet pewna, czy ta postać tam była.

Maggie wpatruje się w ekran laptopa przez kilka minut, a jej musli stoi nietknięte. Przesuwam się w plamę światła słonecznego i zaczynam opłukiwać naczynia w zlewie. Nie mogę się powstrzymać – zaglądam jej przez ramię, żeby sprawdzić, na jakim etapie się zatrzymała. Odwraca się do mnie.

– Naprawdę to napisałaś?

Przytakuję ostrożnie.

Wypija łyk kawy.

- Gaby... te rzeczy są w twojej głowie?
- Mam dziwne sny.
- Ale dlaczego wrzucasz to do sieci? – Wskazała na ekran.
- I czemu ta strona?
- Mroczne Myśli? – Wycieram dłonie w wilgotną ściereczkę.
- Opowiadanie z największą liczbą głosów wygrywa tysiąc dorców.
- Patrzy z powrotem na ekran, klika myszką, a potem znowu zerka na mnie.

Mam na sobie stare džinsy i żółtą koszulkę, przynajmniej wyglądam w tym niegroźnie. Maggie nie wydaje się taka przekonana, jak ja.

Cokolwiek wydarzyło się wczoraj w lesie, nie mogę jej o tym powiedzieć. Nie teraz.

Podnosi się od stołu i odstawia kubek na blat. Nadal ma na sobie strój do biegania, a jej blond włosy z pasemkami są związane w schludny kucyk. Jej opalona skóra wygląda tak zdrowo, że prawie błyszczy. Maggie można uznać za lokalną atrakcję, tuż obok plaży do surfowania i corocznego festiwalu piwa i wina. Pracuje w Green Bean, organicznej kawiarni przy Esplanadzie, prowadzonej przez jej matkę. Turyści chodzą tam, bo przeczytali o tym miejscu w kolorowych czasopismach o jedzeniu. Dla lokalnych mieszkańców Maggie jest po prostu kimś, kto przyciąga uwagę.

– Nie patrz tak na mnie – mówię. – Może lubię te rzeczy, bo nie są realne. – Przesuwam ręką po włosach. Nie są blond ani schludne, tylko ciemne i trudne do opanowania. Trochę jak cała ja.

– Nie mówię, że jest w tym coś złego. To po prostu trochę krwawe i tyle. Nawet nie wiedziałam, że lubisz pisać. – Jej uśmiech jest teraz swobodniejszy. To pewniejszy grunt. – Masz jeszcze inne opowiadania?

Chodzi jej o jakiekolwiek inne, niezawierające bestii z piekiel i scen z odcinaniem głów. Posyłam jej krzywy uśmiech.

– W porządku, Mags, nie każę ci czytać więcej.

Mina jej rzednie.

– Och, skarbie, nie miałam na myśli...
– Przestań – proszę, patrząc jej w oczy.
– Nie, naprawdę, jeśli chcesz porozmawiać o jakichś, no wiesz, rzeczach.

Naprawdę nie chcę odbywać tej rozmowy.

– Margaret Jane – zaczynam, udając jej matkę najlepiej, jak potrafię. – To nie jest nic wielkiego.

– Ale zbliża się, prawda?

Nadal się uśmiecham.

– Wszystko w porządku. – To kłamstwo, ale też najłatwiejsza rzecz do powiedzenia.

Za osiem dni minie rok od śmierci Jude'a. Był moim bliźniakiem.

– Nie musisz iść dzisiaj do pracy? – pytam.

Maggie zerka na zegarek na mikrofalówce i wzdycha.

– Tak, lepiej zacznę się zbierać. – Robi dwa kroki w stronę korytarza, lecz zatrzymuje się, by powiedzieć: – Ale wiesz, że możesz ze mną porozmawiać, tak?

– Wiem. Dzięki. – Lubię Maggie. Czuję się z nią na tyle komfortowo, jak to możliwe od czasu wypadku. I wiem, że sama też przeżyła stratę. Ale to nie jest coś, o czym będę dyskutować przy kawie.

Wychodzi z kuchni powoli, na wypadek gdybym zmieniła zdanie.

Podchodzę do blatu, żeby wyłączyć laptop. Znam każde z tych dwóch tysięcy słów, ale muszę przeczytać opowiadanie jeszcze raz, żeby spróbować spojrzeć na nie oczami Maggie. Klub nocny zaślany zwłokami. Bestia z piekła z błyszczącymi zębami i głową jak toster. Ja, odcinająca tę głowę mieczem, ramię w ramię z mężczyzną o jaskrawozielonych oczach, pachnącym drzewem sandałowym.

Jestem zaskoczona, że Maggie udało się dotrzeć tak daleko. Cieszę się, że nie zapytała, ile z tego przyśniło mi się rzeczywiście ani jak często facet o zielonych oczach pojawia się, by wraz ze mną wal-

czyć z potworami. Każdego ranka budzę się, a on zajmuje moje myśli i czuję się winna – nie mam pojęcia dlaczego. Nazwałam go Matt.

Ostatecznie też poczułam ulgę, że mogłam wyrzucić go z głowy i przelać na papier.

Rozdział 3

Happy hour

Jest późne piątkowe popołudnie, a u Ricka zaczyna robić się tłoczno. To jedyne miejsce, do którego można przyjść, by posiedzieć w tym dniu tygodnia. Bar wychodzi na ulicę, a Maggie i ja siedzimy przy oknie, zagadując do ludzi, których znamy, kiedy przechodzą na zewnątrz. Słońce chyli się ku przyładowi, pozostawiając delikatną purpurową poświatę na niebie ponad oceanem. Na końcu Esplanady błyszczą światelka zawieszane na gałęziach starej poinciance. Uwielbiam tutejsze drzewa.

Kiedy wysiadłam z autobusu w zeszłym roku, stanęłam na dywanie z płatków kwiatów pomarańczy. Czułam się bezpieczna pod tymi gałęziami. Chroniona.

– Witam panie. – Simon zbiera szklanki i ustawia je na tacy, po czym wyciera zewnętrzny parapet okna, o który się opieramy. – Jak się miewacie w ten uroczy wieczór?

– Cieszę się, że to koniec tygodnia – mówi Maggie.

Simon patrzy na mnie i czeka. Jest młodszym bratem Ricka, właściciela baru, pracuje na zmiany, żeby zarobić na studia.

– Spragniona – odpowiadam, unosząc pustą butelkę po piwie.

Mężczyzna pochyla się nad Maggie, żeby odebrać ode mnie puste szkło.

– Pozwól, że to naprawię.

Podaję mu butelkę i udaję, że nie zauważam, jak mierzy mnie wzrokiem. Simon patrzy mi w oczy i wie, że został przyłapany. Jest jednym z tych facetów, których większość dziewczyn uważa za seksownych: krótko ostrzyżone, jasne włosy, tatuaże w ja-

pońskim stylu na ramieniu i długie rzęsy. Przyjemny w obyciu i o świetnym ciele. I nadal ma nadzieję, że pewnej nocy wróce z nim do domu.

– Wyobraź sobie, co by zrobił, gdybyś założyła krótką spódniczkę – rzuca Maggie, kiedy Simon rusza w stronę baru. – Pewnie dostałby zawału.

Spoglądam na moją koszulkę i bojówki, a potem znowu na nią.

– Nie każdy wygląda dobrze w takim stroju.

Maggie ma na sobie krótką dżinsową spódniczkę i podkoszulek.

– Ty byś mogła – odpowiada z szerokim uśmiechem. – Po prostu nie jesteś wystarczająco odważna.

– Tu masz rację. – Może i znowu jestem opalona, ale i tak nie pokazuję zbyt wiele skóry, z kilku powodów.

Po drugim piwie Maggie pochyla się bliżej mnie.

– Spójrz na nowego gościa w barze. Nie przestał wpatrywać się w ciebie, odkąd się pojawił.

Odwracam się i rozglądam się po twarzach. Nic interesującego, jak zwykle. Ale wtedy dostrzegam go i przestaję oddychać.

– Nie gap się. – Przyjaciółka mnie szturcha, przez co rozchlapuje trochę piwa.

Odwracam się.

To niemożliwe.

Wygląda jak facet, który ciągle pojawia się w moich snach. *Dokładnie* jak on: krótkie, ciemnoblonde włosy, potargane, jakby dopiero co wstał z łóżka, rysy zbyt męskie, żeby mogły być uznane za ładne i smukłe, umięśnione ciało. Koszulka i dżinsy.

Spoglądam ponownie. Teraz siedzi twarzą do mnie, opiera się łokciami o wysłużony, drewniany bar, jakby to miejsce było jego własnością. Brakuje mu tylko miecza w jednej dłoni i odciętej głowy w drugiej.

Obserwuje, jak ja obserwuję jego. Nie może mieć więcej niż dwadzieścia lat.

Dokańczam piwo.

– Mój ruch. Gotowa?

– Idziesz z nim porozmawiać? – Maggie otwiera szeroko oczy, jakby ze mnie drwiła.

– Tak.

– Czekał. – Wychyla resztę piwa i zakrywa usta dłonią, by zatuschować delikatne beknięcie. – Chodźmy. – Rusza prosto do niego.

Podążam za nią, niepewna tego, co robię.

Maggie opiera ramiona na barze, czekając na obsługę. Zajmuję miejsce pomiędzy nią a sobowtórem Matta i udaję, że staram się przyciągnąć uwagę Ricka lub Simona.

– Ciekawe miejsce. – Głos obok mnie jest niski, delikatnie chropowaty. Nawet brzmi jak Matt. A przynajmniej tak, jak Matt brzmi w mojej głowie.

Odwracam się do niego, starając się zachowywać zwyczajnie. Nieznajomy przygląda mi się ostrożnie. Jego oczy są zielone, rzęsy długie. Boże, to *jest* Matt. Ten facet jest prawdziwy.

Istnieje tylko jedno wytłumaczenie.

– Czy ja cię znam?

Śmiech wydobywa się gdzieś z głębi jego piersi.

– Ty naprawdę mnie podrywasz?

– Co? Nie. – Przygryzam wargę i się odwracam.

Niech mnie ktoś zastrzeli, proszę. Nie spojrzałam na nikogo w taki sposób od czasu sprzed wypadku. A teraz rumienię się, bo ten facet przypadkowo przypomina kogoś, kto bez przerwy pojawia się w moich coraz bardziej brutalnych snach. Cholera, mam nadzieję, że nie jest blogerem...

Patrzy za mnie.

– To twoja przyjaciółka? Fajna.

Maggie bardzo stara się udawać, że nie słucha, ale wargi jej drgają, to ją zdradza. Odsuwam się.

– Nie będę stała wam na drodze.

– Ale ja przebyłem taki kawał drogi, żeby zobaczyć się z tobą, Gabe. Sztywnieję.

– Skąd znasz moje imię?

Marszczy brwi i znowu spogląda na Maggie, zanim jego wzrok spoczywa na mnie. Waży słowa.

– Znałem twojego brata.

– Co? – Znajdująca się za nim ściana pełna butelek rozmywa się, a ja zaciskam palce na rancie baru.

– Powiedz mi, co się stało – mówi.

Robię powolne wdechy i wydechy.

– Po prostu powiedz. Byłaś tam, prawda?

Całe poczucie winy, żal i gniew wracają do mojego serca i duszą mnie.

– Oczywiście, że tam byłam – odpowiadam przez zaciśnięte zęby. – Byłam w samochodzie.

Maggie obejmuje mnie w talii.

– Odsuń się – warczy do niego z takim jadem w głosie, jakiego u niej jeszcze nie słyszałam.

Teraz on wpatruje się w nas zaskoczony.

– W samochodzie? Jakim samochodzie?

Posyłam mu gniewne spojrzenie.

– Nie potrzebuję tego. – Odsuwam się od Maggie.

Odchodzę na kilka kroków, zanim on łapie mnie za ramię.

– Gabe.

Wyrywam się z jego uchwytu.

– Po prostu się odpieprz.

Puszcza mnie i rozgląda się po twarzach wokół nas. Kilka osób przygląda się z zainteresowaniem, a on bierze głęboki wdech i uśmiecha się, jakby nigdy nic.

– Chodź, postawię ci drinka.

– Czemu?

– Żeby porozmawiać.

– Na temat Jude’a? – Nie znoszę tego, jak mój głos nadal załamuje się, kiedy wypowiadam jego imię.

– Tak.

– Dlaczego?

Jego uśmiech blednie.

– Bo za nim tęsknię.

I to wystarcza.